BEZPŁATNY DODATEK

RODZINA
PISMO
POŚWIĘCONE WYCHOWANIU
I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 8. Niedziela, dnia 12-go kwietnia. Rok 1914

PRZEZ BOLEŚĆ I MIŁOŚĆ.

OBRAZEK Z ŻYCIA NAPISAŁ JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

Tatuś przywiózł raz z jarmarku śliczną kurkę czubatą i powiedział, że to dla mnie. Bardzom się ucieszyła, a że Warzbińska już od dawna marzyła o gospodarstwie oddzielnem, któreby zostawało pod moim wyłącznym zarządem, więc przyjęła kurkę z rozwartemi ramionami i pomyślała zaraz o jej stosownem pomieszczeniu. W sieni, za drabiną prowadzącą na strych, znalazł się kącik wygodny i bezpieczny na gniazdo; w górze parobcy powbijali grzędy, aby kurka miała na czem spać w nocy. Podczas mego pobytu w szkołach Warzbińska doglądała jej jako oka w głowie, a gdy mama chciała raz zabrać jaja, stanowczo się temu oparła, mówiąc, że są one własnością jej panienki.

Jakaż to była dla mnie niespodzianka, a jaka radość, gdy przyjechawszy po roku na wakacye, ujrzałam moją czubatkę otoczoną wieńcem ślicznej dziatwy, która właśnie zaczynała pierzem się okrywać. Miała ich nie mniej i nie więcej tylko okrągło dwadzieścioro... a jaka ona była dumna z tak licznego potomstwa! Gdy szła z niemi, była poważna, spokojna a nadęta jak paw, boć na całym świecie nie było drugiej kury mogącej się pochwalić tak dorodnemi dziećmi; żadnemu nie pozwoliła krzywdy zrobić; gdy robaczka znalazła, wszystkie razem zwoływała, a jeżeli zdarzyło się kiedy, że jakie kurczątko, zbłąkawszy się w ogrodzie, zaczęło piszczeć, zaniepokojona o los dziecka, wzywającego jej pomocy, zostawiała dziewiętnaścioro, biegła za tem jednem i dopiero gdy zbłąkane znalazła, odprowadzała je do reszty rodzeństwa. Ziarna, którego tatko dostarczał mi ukradkiem, aby mama nie widziała, sypałam im ile tylko mogłam, wszelako jeślim się kiedy rano z tem spóźniła, czubatka, prawdopodobnie z obawy, żeby jej dziatwa głodu nie cierpiała, wyprowadzała ją zaraz do sadu, stamtąd w pole, niekiedy aż pod las, i tak pilnie pożywienia dla nich szukała, że wieczorem wszystkie wracały z pełnemi wolami. Raz umyślnie nie dałam im jeść przez trzy dni; czubatka nie rozpaczała i jej dzieci były zawsze syte.

Warto ją było widzieć wieczorem, gdy szła spać lub jeśli w dzień zaczął niespodziewanie deszcz padać a ona była w ogrodzie. Poczciwina zwoływała wtedy swoje pisklęta, z początku głosem łagodnym, potem nawet groźnym, a gdy się zbiegły, podnosiła skrzydła i, choć to się wydawało prawie niepodobieństwem, dla każdego z nich znalazło się pod niem miejsce. Ciepło im tam było, bo je matka ogrzewała swoją piersią.

Raz, gdym była w izdebce, usłyszałam w ogrodzie jej krzyk przeraźliwy. Wybiegłam na dwór, patrzę i z trwogi kamienieję: kurczątka rozsypały się na wszystkie strony, każde starało się ukryć pod jaki krzaczek, czubatka zaś stała na gazonie z dwojgiem piskląt pod skrzydłami i, podniósłszy głowę do góry, wzywała koguta na pomoc przeciw jastrzębiowi, który chciał się na nią rzucić. Narażała się na śmierć, na śmierć niechybną, ale swoich dzieci nie opuściła.

Odzyskawszy przytomność, skoczyłam ku niej, by jastrzębia przestraszyć a ją zasłonić, nim atoli dobiegłam do gazonu, już z za parkanu padł strzał i jastrząb, na skrzydłach się kołysząc, spłynął na ziemię nieżywy.

To Leoś, z polowania wracając, przyszedł mi na pomoc i moją czubatkę obronił. Gorąco mu za to dziękowałam, ale w rozmowie nie nazywałam go już Leosiem, tylko „panem Leonem".

Poufałe nasze stosunki z lat dziecięcych ustały jeszcze roku ubiegłego, gdy Leoś, przyjechawszy na wakacye, jako uczeń ósmej klasy gimnazyalnej, pierwszy zaczął mnie „panną" nazywać. I bardzo mnie to ucieszyło, bo chociaż miałam dopiero lat dwanaście już przez to samo, przynajmniej we własnem przekonaniu, zostałam pasowana na pannę dorosłą. Nawet Warzbińska przyznała, że Leoś postąpił politycznie, gdyż na oko wyglądałam na starszą. Wystrzeliłam wysoko, zupełnie jak mama, a że cerę twarzy miałam smagłą, bez rumieńców, przytem włosy niezmiernie czarne i nadzwyczaj bujne, więc niejeden dawał mi już lat czternaście, niektórzy nawet piętnaście. Teraz, po roku, wyglądałam jeszcze poważniej i gdyby nie krótka sukienka, kto wie, czyby mnie nie brano za pannę całkiem dorosłą.

To moje rozwijanie się nad wiek nie podobało się Stefci, która, acz starsza odemnie, trzymała się wciąż przy ziemi. O ile mnie się zdawało, nie było można zaliczyć jej do ładnych, a mimo to Stefcia w swojej zarozumiałości poczytywała się za skończoną piękność, [illegible] majątek jej rodziców w pychę ją wbijał.

W klasztorze byłyśmy razem tylko dwa lata. Po upływie tego czasu Stefcia zamieszkała u swoich rodziców, ci bowiem sprowadzili się do miasta dla edukacyi dzieci, których mieli jeszcze kilkoro. Odtąd Stefcia często swoje dawne koleżanki w klasztorze odwiedzała i jeszcze obficie niż przedtem znosiła nam miejskie ploteczki. Ponieważ trzymałam się od niej zdaleka, więc nazywała mnie złośliwie królewną Madagaskaru.

Raz wbiegła zadyszana i ledwie ją pensyonarki obstąpiły, zawołała:

— A gdzie jest królewna Madagaskaru?

Znajdowałam się wtedy w muzeum, zajęta wypracowaniem zadania rachunkowego na dzień następny. Marynia przybiegła po mnie. Dowiedziawszy się, że Stefcia przyszła, nie chciałam się od nauki odrywać, Marynia jednak tak nalegała, że wkońcu dałam się uprosić.

Stefcia, nie przywitawszy się nawet ze mną, wprost zapytała:

— Powiedz mi, Kaziu, co to za jeden jest ten pan Leon Zieliński, który chodzi do wyższego gimnazyum!

— Co za jeden? Student.

— A to dowcip! Że student, o tem chyba i ja wiem, lecz radabym się dowiedzieć, kto jest jego ojciec?

— Zkąd taka ciekawość i czemu właśnie mnie pytasz o niego?

— Ztąd ciekawość, że zaczął chodzić do mojego brata, a zaś dlatego pytam ciebie, że przypuszczam, iż musisz go znać doskonale, bo ilekroć ukłoni ci się na ulicy, zawsze się rumienisz.

Stefcia, mówiąc to, złośliwie się uśmiechała.

Nie wiem, czym się rumieniła, gdy mi się Leoś kłaniał, ale żem się dobrze zarumieniła po tych słowach Stefci, to jeszcze dziś pamiętam.

— Że ty, Stefciu, musisz mi zawsze przykrość sprawić — odrzekłam i, odwróciwszy się, chciałam odejść.

Ale ona chwyciła mnie za rękę.

— Nie gniewaj się, Kaziu, nie gniewaj! — zawołała. — Jam to powiedziała tylko przez żart. Przecie jesteś jeszcze za mała, by cię można kawalerami prześladować. Powiedz mi więc, czem jest stary pan Zieliński?

— Gospodarzem w Sławomyślu.

— Chłopem?

— Nie zupełnie, bo jakkolwiek nie ma dużo ziemi i ubiera się prawie po chłopsku, pochodzi jednak ze szlachty i jest człowiekiem rzadkiej prawości charakteru.

Stefcia skrzywiła się na to i obracając się w kółko jak wrzeciono, zawołała:

— Szlachcic zagrodowy a chłop, to wszystko jedno. Weź go sobie, weź!

Wpatrzyłam się w nią zdumiona.

— Coś chciała przez to powiedzieć? — zapytałam.

— Że możesz wydać się za swego pana Leona. Ja inną zrobię partyę.

Oburzyły mnie jej słowa; nie o sobie wszakże teraz myślałam, lecz o Leosiu. Jak mogła z takiem lekceważeniem o nim się wyrażać!

— Moja Stefciu, ty o panu Zielińskim mówisz z pogardą, a jeszcze wielkie pytanie, czy on by ciebie wziął.

— Możeście już po słowie? — zapytała z wzragającą złośliwością.

Obróciłam się do moich koleżanek, pytając:

— Co to wszystko znaczy?

Dziewczątka zaczęły się śmiać, jedna Marynia stanęła w mojej obronie.

— Daj pokój, Stefciu, tym żartom — rzekła. — Kazia albo ich wcale nie rozumie, albo nie chce rozumieć.

— Skoro tak, więc niech wie, że i ja nie chcę tego rozumieć, com od niej usłyszała. On by mnie mógł nie chcieć... Boże! Dość mi tylko palcem kiwnąć.

I znów się wkoło kręciła, potem zaczęła opowiadać ploteczki.

Nie zdawałam sobie wówczas dokładnie sprawy ze słów usłyszanych, ale sprawiły mi one wielką przykrość.

XI.

Przypatrywałam się raz wieśniaczce, piorącej bieliznę w naszym stawie. Podczas, gdy ona była pracą zajęta, jej małe dziecko, chłopiec może trzyletni, mimo, że mu kazała spokojnie na brzegu siedzieć, wciąż zsuwał się do wody, by się w niej pluskać. Ponieważ woda, acz z brzegu płytka, dalej była bardzo głęboka, przeto matka zaniepokojona po kilkakroć przestrogę powtórzyła, a gdy to nie pomogło, gniewnie krzyknęła:

— Jak mi jeszcze raz wleziesz do wody, tak cię wytrzepię, że cały rok popamiętasz!

Dzieciak nie usłuchał; wtedy matka chwyciła go w silne ręce, dała mu kilka klapsów, poczem znów na murawie posadziła, mówiąc:

— Może choć teraz posłuchasz?

Dziecko zaniosło się od bólu i długo nie mogło krzyknąć; dopiero gdy matka powtórzyła uderzenie, wrzasnęło przeraźliwie, poczem już tak głośno płakało, że je pewnie na końcu wsi słyszano. Matka udawała, że sobie z tego nic nie robi, kilka razy nawet zawołała: „Krzycz, krzycz, póki lepiej nie dostaniesz!" mimo to po niejakim czasie serce ją zmogło. Porzuciwszy bieliznę, przystąpiła do malca, wzięła go na ręce i zaczęła całować.

— Cyt, Walusiu, cyt! Widzisz, mama musiała cię wybić, boś nie słuchał i mógłbyś się utopić, ale mama już się nie gniewa. Cyt, Walusiu, cyt!

To mówiąc całowała go i do piersi tuliła. Chłopiec zaczął z początku jeszcze bardziej krzyczeć, przyczem szamotał się, jakby się chciał matce z rąk wyrwać, widocznie ambicya jego była wielce podrażniona; wszelako pod magicznym wpływem pieszczot macierzyńskich robił się coraz cichszym a przytuliwszy główkę do jej ramienia, odtąd tylko tak płakał, jakby się żalił. Ale i to nie długo trwało; gdy go matka raz i drugi pocałowała, zupełnie się uspokoił, objął ją za szyję i z uśmiechem zaczął sam całować.

Za jeden uścisk serdeczny zapomniał o bólu.

Tego samego dnia i jam doświadczyła słodyczy uścisku macierzyńskiego.

Ponieważ w klasztorze nie uczono nas grać na fortepianie, mama zaś pragnęła, żeby edukacya moja była wszechstronna, więc przez wakacye uczyła mnie sama muzyki. Lekcya trwała codzień godzinę, poczem już bez mamy musiałam ćwiczyć się najmniej dwie godziny. Nie mogę o sobie powiedzieć, bym z natury była leniwa, przeciwnie, wszystkich przedmiotów szkolnych uczyłam się z wielką gorliwością, mimo to fortepian nie sprawiał mi najmniejszej przyjemności, zawsze też niecierpliwie wyglądałam chwili, kiedy mi od niego odejść pozwolą. Sądzę, iż ta moja niechęć pochodziła głównie stąd, że nie miałam słu-

Siłą palących się pod niemi lampek olejnych „bębenki" obracały się zwolna. I oto kolejno widziałeś tam koronę cierniową, dalej młot, obcęgi, gwoździe; dalej słup i bicz, dalej krzyż, wszystko poprzeplatane epizodami z pochodu na Golgotę.

Gdybym sto lat żył, dość by mi oczy zamknąć było z myślą o nich, abym je w oczach miał, jak na dłoni.

Ongi godzinami w niemem skupieniu śledziłem obroty ich.

Na pamięć znałem kolej obrazów.

Teraz cierniowa korona, teraz Chrystus upadający pod krzyżem, teraz słup i bicz, teraz zaparcie się Piotra.

W połowie nawy kościelnej, na podesłanym kilimku, głowami wzniesiony na poduszce, leżał krucyfiks. Kto wszedł, całował ręce i nogi Ukrzyżowanego, z brzękiem opuszczając na tacę obok grosz wdowi. Ten i ów od drzwi kościelnych czołgał się na kolanach aż do kilimka, inni padali przed nim krzyżem.

Od południa kościół zaludniał się zwolna; pod wieczór szpilki by już w nim nie zmieścił. Zdawało się, że rozpierane łokciem ściany rozsuwały się pod naciskiem.

W tłumie tym przedostać się od zakrystyi do ołtarza sztuką było nielada — nie zwracano uwagi na samego księdza, a cóż dopiero na posługujących. Nieraz znużony ustawałem w drodze, czasem i pięścią przyszło torować ją sobie, a czasem odzywano się koło mnie:

— Usuńta się, bo chłopca zdusita.

Gdy ksiądz zaintonował „Gorzkie żale", tłum jednem uderzeniem głosu wpadał w śpiew. Śpiewali wszyscy, jakby sklepienia przebić chcieli tonami i wyrzucić je gdzieś ponad szczyty wieżyczki i wyżej.

Popodpierany kościołek wytrzymywał napór ten modlitwy ludzkiej, drżał jeno starowina, wiekowy słuchacz wiekowych pieśni.

Jednocześnie uwijały się po cmentarzu chłopaki z kołatkami wszyscy i grzechotkami.

Kołacąc, obiegali kościół co parę chwil dokoła, jakby na straży modlących się wewnątrz, to znowu zbijali się w gromadki, przechwalając się kołatkami, imponując sobie wzajemnie kształtem ich, rozmiarami lub donośnością głosu. Prowadzono przytem ożywiony handel, oczywiście zamienny.

Rozmaitość towaru była wielka, całe gamy tonów i kształtów; ta odzywała się basem, inna dyszkantem, owa olbrzymia, oburącz poruszana, a ta znowu drobna, nadzwyczajnie gadatliwa; w tej młotek w widełkach nad deską „luzem chodził", w tamtej zacinał się trochę, albo znów latał „kieby kołowaty".

Razem w ruch wprawione, piekielny wywoływały hałas.

I długo jeszcze w noc po skończonem nabożeństwie, wśród powracających z kościoła do domów, słyszałeś tam kołatkę, ówdzie grzechotkę.

Tak mijały piątek i sobota; zbliżała się uroczystość ostatnia, ale jedyna ze względu na porę, w której się odbywała.

Rezukrekcya o wschodzie słońca.

W wilię dnia tego nie zasypiałem prawie zupełnie z niecierpliwości wielkiej i z obawy, żeby się nie spóźnić.

Szarzało zaledwie a już się z łóżka zrywałem.

Jakże pamiętam to wschodzące słońce podczas trzykrotnej dokoła kościoła procesyi!...

Podnosiło się od strony wielkiego ołtarza, wielkie, okrągłe, czerwone, mgłami zasute i oparem, jakby zaspane. Rozbudzało się zwolna, wyzłacało stopniowo, rzekłbyś świece gasiło po świecy, aż chwilę później lśniło już nad horyzontem, czyste, jak łza w wędrówce ku zachodowi.

Gdy się „na półtora chłopa" wzbiło w górę ostatnie rozpływało się echem „Alleluja".

Zalewało światłem zakrystyę, gdym w niej z żalem zdejmował komeżkę; było już po uroczystościach.

Znikomość jednak rzeczy ludzkich i nietrwałość nie zaprzątały mnie wtedy zbytecznie; wszakże czekało niebawem święcone — no i czekał śmigus.

Pociecha gotowa.

Oj, złote były to czasy!

Maryan Jasieńczyk.

Z KRWAWYCH DNI.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Gość. — Oblężenie.

Było już po południu godzin parę, kiedy na stepie, pod futorem, zabrzmiała pieśń wojskowa*) i niebawem u wrót ukazał się oddział zbrojny. Przodem jechał dowódca z jednym wąsem lnianym a drugim ciemnym i widząc gospodarza, wychodzącego przed ganek na powitanie gości, podjechał ku niemu i pozdrawiając po rycersku, ozwał się:

— Nie mogłem ominąć siedziby starego druha mego ś. p. ojca, żeby waszeci się nie pokłonić, panie poruczniku, i nie przypomnieć łaskawej pamięci.

— A, pan oboźny Stempkowski! Czołem! Czołem! — odrzekł pan Onufry, kłaniając się uprzejmie. — Ale zsiadajże waszeć z konia i ludziom pozwól spocząć. Miło mi w progach moich niskich ugościć syna pana kasztelana Żarnowskiego, mego zacnego druha. Hej, Macieju!...

I staruszek zajął się przyjęciem gości, a choć się krzątał i zapraszał, znać jednak było, że nie jest rad sercem całem, jakby tego można się było spodziewać.

Niebawem zapytał pana oboźnego o młodszego brata Jana, a gdy tamten kwaśno jakoś wspomniał o nim, pan Onufry począł się rozwodzić nad zacnością tego ostatniego.

— Wiadomo waszmości — prawił pan Józef — że brat mój Jan przez dawne stosunki, w jakich zostawaliśmy ze stolnikiem litewskim, a dziś nam miłościwie...

— Miłościwie, jak miłościwie! — mruknął gospodarz.

— I łaskawie panującym — ciągnął gość dalej — królem Stanisławem, przez dawne, mówię, stosunki, otrzymał stopień szambelana i mógł był dalej zaszczytnie pełnić służbę u dworu, bo do wojaczki nigdy nie zdawał się mieć wielkiego animuszu; niechby zresztą był wstąpił do wojsk jego królewskiej mości, ale porzucił stolicę i, mówię waszmości, kopnął się w stepy i przepadł bez wieści.

— To pewna, że do łupiezców nie przystał — rzekł z uśmiechem pan Onufry i miał coś mówić dalej, gdy nagle pan Stempkowski przez okno wyjrzawszy, zagadnął:

---

*) Był zwyczaj we wszystkich chorągwiach od wieków, iż z pośród towarzyszy dobierano śpiewaków, którzy na czele jadąc, śpiewali pobożne i światowe pieśni.

— A to co za dzierlatka chowa się u waści? Przecież zda mi się, że rodziny waszeć nie miałeś od... — i urwał nagle.

— Od kiedy — ciągnął dalej gospodarz — od kiedy mi moją jedynaczkę porwano, jak o tem wiedział ojciec waszmości i inni druhowie moi. Otóż dowiedz się waść, że w cudowny prawie sposób dziś niebo mi zesłało wnuczkę po tej właśnie zaginionej córce.

— Co waść mówisz, a to jakim sposobem?

Ale w tej chwili nowy hałas dał się słyszeć, i wpadł na podwórko ordynans od Ksawerego Branickiego, późniejszego hetmana, z wezwaniem do pana oboźnego, żeby natychmiast spieszył ku Humaniowi. Rozmowa się przerwała, i tylko pan Stempkowski w krótkich słowach usłyszawszy, że Hańdzia nie ma już matki, zobowiązał pana Onufrego, że ten wnuczkę tymczasowo powierzy opiece pani Franciszki, żony jego, która obecnie w Żytomierzu przebywając, dzieweczkę macierzyńską otoczy troskliwością.

— Miło nam będzie — powtórzył na wsiadanem już pan oboźny — choć w taki sposób okazać szacunek, jaki mam dla zacnego druha pana kasztelana, a ś. p. ojca mego.

Nie przyrzekał nic stanowczego pan Onufry, dziękował jednak za uczynioną sobie propozycyę.

Nad wieczorem powrócił wysłany chłopak i opowiadał o strasznych spustoszeniach, jakie wszędzie w okolicy zrządzili hajdamacy, o bitwie, w której pan oboźny rozpędził bandytów; resztki ich podobno kryją się gdzieś niedaleko, o Bohdanie tylko nic się dowiedzieć nie mógł. Słuchał tego wszystkiego z chmurnem obliczem pan Onufry i postanowił niezwłocznie puścić się na odszukanie wnuka, a tymczasem pieścił i tulił Hańdzię, która się doń garnęła z płaczem.

Na noc pościelano jej i Motrunie w wielkiej izbie na prawo, gdzie stary Maciej poznosił wilcze i niedźwiedzie skóry na wygodne posłanie dla kochanej panienki. Gołąbek, nakarmiony grochem i kukurydzą, usnął smacznie, kryjąc główkę pod skrzydełka, a spłakana pani jego także we śnie zapomniała o swym żalu.

Około północy psy straszliwie ujadać zaczęły, a pan Onufry, który miał sen czujny, zerwał się i narzuciwszy jakiś przyodziewek, wyszedł na podwórko; tu spotkał się z Maciejem, już także rozbudzonym, i obaj usłyszeli hałas jakiś niezwykły na stepie.

— Co to być może? — pytał stary sługa zaniepokojony. — Gdybym nie wiedział, że ci opoje mają respekt dla jegomości, sądziłbym...

Tu przerwał, bo krzyki coraz wyraźniejsze, zapowiadały zbliżanie się gromady ludzi.

— A to łotry! Już się do gniazda starego sępa dobierają, przyjmiemy ich, jak należy, tylko mi żal dziewczątka, żeby się strzałów nie przelękło. Skocz żwawo, Macieju, po rusznicę, wołaj Pawlusia, i znieście wszystką broń, jaka jest. Damy im od bramy takie przywitanie, jakiego jeszcze pewno nie mieli.

I sam pan porucznik z żywością młodzieńczą zakrzątnął się około broni i ładunków, uprzedziwszy przedtem Motrunę, żeby nad Hańdzią czuwała, nic się nie bojąc.

— Chryste Panie! — szeptała wystraszona staruszka — i tu nas znajdą ci niegodziwcy, i moją gołąbkę wystraszą! Boże! Zmiłuj się nad nami!

Noc była ciemna, bo chmury zaciągnęły niebo, ale po krzykach znać było, że gromada zbliża się; pan porucznik kazał zapalić parę smolnych pochodni i przez okienko, w szczelnie zamkniętej furtce, spojrzał w pole. Jar zapełnił się ludźmi, którzy po swojemu, to jest z pijanymi krzykami i przekleństwy walili się ku dworkowi. Niewielu ich jednak było, może ze dwudziestu; musiały to być niedobitki z gromady przez pana Stempkowskiego rozpędzonej.

— Damy im radę — mruknął pan porucznik, i naprędce wydał rozporządzenia; Pawluś miał tylko nabijać strzelby i podawać je panu i Maciejowi, którzy stanęli przy furtce w okienku. Brama była wysoka i broniona częstokołem, który z jednej strony, przypierał do skały, z drugiej łączył się z pasieką, także płotem otoczoną. Od frontu więc tylko mieli otwartą drogę rabusie, a nie przywykli do silnego odporu, śmiało walili się naprzód.

Ale padł strzał jeden i drugi, i już dwóch leżało na ziemi; dzikie wycie dało się słyszeć między napastnikami, a reszta rzuciła się ku bramie. Psy ujadały, wściekle, rwąc się do bramy, którą aż gryzły zębami.

— A gdyby je wypuścić? — rzekł Maciej, mierząc znów przez okienko.

— Poczekaj, stary! — odpowiedział porucznik.

Napastnicy cofnęli się z wrzaskiem, ale nie chcieli dać za wygraną, tylko zmienili taktykę. Widocznie postanowili zapalić bramę i tak sobie drogę otworzyć; musieli też mieć przy sobie pakuły, czy jakie łuczywo, gdyż po chwili ognisty snop poleciał na częstokoły.

— Dobrze, będzie nam jaśniej! — zawołał pan Onufry, zagrzany zapałem. — Za mną, Macieju, a ty, Pawlusiu, ruszaj do domu i wyprowadź co tchu Motrunę z panienką przez pasiekę do pieczary, wiesz, tam, w zaroślach.

I dzielny starzec, otwierając rygle furtki, puścił psy przodem, a sam z Maciejem, stojąc na wysokim progu, jak zaczął razić z rusznicy nieprzyjaciela, tak się wszystko w kłębek zbiło. Brakło już ładunków, porucznik porwał szablę, Maciej toż samo, zapominając, że obaj z górą siedem krzyżyków życia dźwigają. Rąbali też na oślep, psy rzuciły się do gardła napastnikom z wyciem i szczekaniem, na to wszystko ogień rzucał blaski krwawe, bo już częstokół zapłonął. Piekielna wrzawa napełniła powietrze, ptactwo wystraszone wzlatywało w górę, ale chwila jeszcze i wszystko ucichło. Pan porucznik wsparł się na mieczu i pogląda wokoło:

— No, Macieju! grackośmy się spisali, mój stary! I psiska poczciwe dopomogły!

A w tej chwili właśnie biedny Obal przyczołgał się do nóg pana, skrwawiony, z rozprutym bokiem, zaskomlał, patrząc mu żałośnie w oczy i skonał.

Tymczasem jednak częstokół płonął w najlepsze, i ogień mógł dojść do dworku, trzeba było ratować. Maciej uderzył w dzwon na podwórzu, aby dać znać o sobie, a po chwili nadbiegł Pawluś z pasieki, wołając do Motruny, że wszystko dobrze. Piastunka z Hańdzią nie zdołały jeszcze dojść do pieczary, więc powróciły; niebawem Motruna zajęła się żwawo czerpaniem wody ze studni do gaszenia pożaru. Wiatru szczęściem nie było, więc w krótkim czasie porąbawszy częstokół w kilku miejscach, ogień ugaszono. Dnieć już zaczynało, kiedy znużona gromadka powróciła do dworku. Zagraj i Sajdak, skomląc, pokładły się przed gankiem, jakby opłakiwały straconego towarzysza. Maciej z Pawlusiem pozostali dla bezpieczeństwa na dworze, bo już i bramy nadpalonej zamknąć nie było można, a pan Onufry, choć się położył, jednak zasnąć nie mógł, rozważając, co dalej robić.

— Bóg wie, czy nie powrócą znowu — myślał sobie — zresztą, ręka moja nie taka zdrętwiała. Iakem